

Adam RODZIŃSKI

## PRELUDIUM DO ROZWAŻAŃ O POLSKIEJ KULTURZE NARODOWEJ\*

*Tożsamość nasza narodowa interesuje nas nie od dziś; dyskusji na ten temat różnych była moc, ciągle nam ich mało. Najwidoczniej polskość nasza jest dla nas samych jakąś tajemnicą. Zdajemy sobie z tego sprawę, że jesteśmy Polakami w jakimś innym nieco znaczeniu, niż na przykład Brytyjczyk jest Anglikiem albo Szkotem. W znaczeniu innym raczej naród nasz jest narodem niż na przykład amerykański naród, czy tym bardziej sąsiadujący z nami od wschodu „naród stu narodów”.*

Obawiamy się podobno wręcz obsesyjnie – jako Polacy – nadmiaru upórządkowania. Lubimy inicjować wiele rzeczy (a nawet finalizować niektóre) z gestem i fantazją. Specjalnością naszą i grzechem naszym głównym – też podobno – jest niesforność. Atoli czy „sforność” to zaleta? Wszak ci to również wada, z tym, że dużo gorsza (przykładów dowodzących tego – zwłaszcza w naszym stuleciu – znaleźlibyśmy dość). Czyżby sprawdzało się aż tak powszechnie u nas rzymskie powiedzonko: „quot capita tot sensus”? Mniemam, że tak źle nie jest. Nie jesteśmy na ogół indywidualistycznie i burzliwie usposobionymi nonkonformistami, lubimy jednak dodawać prawie do wszystkiego coś niecoś bałaganu. Postaram się tu zresztą potwierdzić osobiście ten charakterologiczny rys naszej polskiej fizjonomii narodowej chaotycznym do pewnego stopnia i luźnym tokiem myśli i rozmyślań. Hasło „dla każdego coś miłego” jest ciągle cenione i modne, a „przede wszystkim nie nudzić” to pierwsza hipokratejska zasada naszych gorączkowych czasów.

Zacznijmy więc uwagi niniejsze i refleksje odnudzająco, bo przekornie, od cenionej wszakże i u nas idei porządku. Ordo est anima rerum tramesque ad Deum – porządek jest duszą rzeczy i ścieżką do Boga. Któż z nas, po chrześcijańsku wierzących Polaków, nie podpisze się pod tą maksymą pochodzącą z wieków dawnych, przecież jednak nadal aktualną? Wystawieni w dziejach naszych narodowych na „ciągle przeciągi” z pewnością cenilibyśmy sobie – podobnie jak pożałowania godni użytkownicy „wielkiej płyty” – każdy cichy kącik, spokojny i zabezpieczony przed intruzem, gdybyśmy

---

\* Tekst artykułu podajemy za: *Z Karolem Wojtyłą myśląc Ojczyzna*, red. W. Chudy, Instytut Jana Pawła II KUL–Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2002, s. 53-56. Po raz pierwszy artykuł opublikowany został w roku 1988 („Ethos” 1(1988) nr 4, s. 148-150).

go mogli mieć. Zmuszeni do ciągłego improwizowania, budowania domów co jakiś czas na pogorzeliiskach, wprowadziliśmy za to do osobowości naszej narodowej element zdrowego dystansu wobec spraw przyziemnych; polski ethos i pathos stałym są na to dowodem, pomimo wielu niesławnych wyjątków stwierdzających raczej tylko istnienie reguły z nimi sprzecznej. Ten właśnie dystans – wielkoduszny i bezinteresowny – pozwala Polakom, w większym zapewne stopniu niż przeciętnym przedstawicielom wielu innych nacji, czuć się osobami.

Na pozór nic prostszego jak czuć się tym, kim się od początku i niezbywalnie jest, choćby się było – tak jak w tym wypadku – tym „nuklearnym” kimś nie z inicjatywy osobistej; pozory jednak mylą. Czuć się sobą w tym najgłębszym i podstawowym sensie to niełatwa sprawa. Mieć pełną świadomość faktu, że się jest osobą, to rozumieć, choćby w sposób intuicyjny i nieskonceptualizowany, że się jest podmiotem osobnym całkowicie i autonomicznym, ale i ukierunkowanym równocześnie „ad alterum” – ku innym podmiotom tego typu – w sposób konstytutywny (nieprzypadłościowy) i funkcjonujący u samych podstaw naszego działania, u podłoża wszelkich styczności, spotkań i porozumień międzyosobowych. Jest to niezmiernie ważne nie tylko dla osobistej kultury człowieka, ale zachowuje też swoją doniosłość w ramach każdej kultury narodowej, bo dzięki temu właśnie – posłużmy się tu formułą Karola Kardynała Wojtyły – „faktyczna wielo-podmiotowość rozwija się w kierunku podmiotowości wielu”<sup>1</sup>. Im bardziej więc człowiek czuje się osobą, tym głębiej solidarny jest ze swym narodem. Wartość „osobności” wypełnia się na tej drodze wartością „bycia razem” na głębokim fundamencie tej „wspólnotowości” osób, o jakiej była mowa. Tu dopiero ukazują się nam wartości i racje, z uwagi na które warto żyć i warto tracić życie. Są to racje moralne i ogólnoludzkie, ale właśnie dlatego poszczególny Polak, im bardziej czuć się będzie podmiotem dopuszczonym na gruncie samostanowień własnych do współodpowiedzialności za kształt i sens tego, co dzieje się w zakresie spraw, które jemu – jako Polakowi – nie mogą być obojętne, tym większa pojawi się przed nim szansa bycia nie tylko „dobrym Polakiem”, ale i lepszym człowiekiem, godniejszym powszechnej, ogólnoludzkiej akceptacji i aprobaty.

Tożsamość nasza narodowa interesuje nas nie od dziś; dyskusji na ten temat różnych była moc, ciągle nam ich mało. Najwidoczniej polskość nasza jest dla nas samych jakąś tajemnicą. Zdajemy sobie z tego sprawę, że jesteśmy Polakami w jakimś innym nieco znaczeniu, niż na przykład Brytyjczyk jest Anglikiem albo Szkotem. W znaczeniu innym raczej naród nasz jest narodem niż na przykład amerykański naród (mam tu na myśli ogół obywateli Stanów

<sup>1</sup> Kard. K. Wojtyła, *Osoba: podmiot i wspólnota*, „Roczniki Filozoficzne” 24(1976) z. 2, s. 34.

Zjednoczonych), czy tym bardziej sąsiadujący z nami od wschodu „naród stu narodów”<sup>2</sup>; na pewno też nie jesteśmy narodem w tym znaczeniu dokładnie, w jakim stanowią określoną wspólnotę narodową Niemcy (na ile Austriak uważa się za Niemca?) albo Żydzi (tu może najwyraźniej zaznaczała się w dziejach różnica między narodem a narodowością), nie przypominamy też wielojęzycznego narodu Szwajcarów.

Wielką „familiją narodów” jest cywilizacja – na przykład ta, która ogarnęła nas przed laty tysiącem w zwycięskim swym pochodzie od wybrzeży Morza Śródziemnego. Przybyło z nią chrześcijaństwo, ale przybył i dawny, starożytny Rzym ze swoim językiem, z właściwymi sobie „formami i normami” życia publicznego. Dzięki niej narody Europy zintegrowane zostały wielowymiarowo; dynamika tego procesu w sposób znany nam wszystkim zaznacza się również dziś. Kultura nasza narodowa to oblekające się stale w swą „materię” życie duchowe tej dziejowej całości, która zwie się Polską. „Naród żyje wciąż swoją historią” – przypomniał nam Jan Paweł II w auli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wskazując na „wielki dziejowy proces spotkania pomiędzy Zachodem a Wschodem”, proces, który „nie jest jeszcze zakończony”<sup>3</sup>.

O splatających się i powiązanych z sobą korzeniach przedcywilizacyjnych wspomnę tu też krótko. Niech zresztą powie o tym za mnie niezapominajka, czy – jak się dalej ku wschodowi ją zwie – niezabudka. „Vergissmeinnicht”, „forget-me-not”, „ne-m’oubliez-pas” – wszystkie te czy im podobne określenia wymownie świadczą o tym, jak bliscy sobie pomimo wszystko musieli być ludzie, z których tak różne, a nawet obce sobie populacje wywodzą swój kulturowy byt. Zniknęła, zapomniana została baśń opowiadana dzieciom przez piastunki – kiedyś, przed tysiącami lat. Pozostał tylko skromny, drobny kwiatek. Ci, bez których nie byłoby nas na świecie – nas Europejczyków – byli ongiś razem. A może by tak, podejmując tę baśń utraconą, zapewnić z kolei nasze dzieci – od Gibraltaru do Uralu – że ilekroć dorosli sięgają po broń przeciw sobie, kwiat niezabudki płacze?

Przestrzeń kultury narodowej nie tylko obejmuje to, co na powierzchni. „Zstąpmy do głębi”<sup>4</sup> – mówi Mickiewicz, a mówi o narodzie, który jest „jak lawa”<sup>5</sup>. Podobnie wyrazi to – po dalszych tragicznych doświadczeniach dziejowych – Wyspiański. Zaproszony na chłopsko-pańskie wesele Chochoł nie

<sup>2</sup> Zob. G. K u b l i c k i, *Naród stu narodów*, tłum. K. Frejdllich, PWN, Warszawa 1987.

<sup>3</sup> J a n P a w e ł I I, *Jakie są perspektywy tego pokolenia?* (Przemówienie w auli KUL podczas spotkania z polskim światem akademickim, Lublin, 9 VI 1987), „L'Osservatore Romano” wyd. pol. 8(1987) nr 5, s. 12.

<sup>4</sup> A. M i c k i e w i c z, *Dziady. Część trzecia*, scena 7, w. 230, w: tenże, *Dzieła*, t. 3, *Utwory Dramatyczne*, oprac. S. Pigoń, red. L. Płoszewski, Czytelnik, Kraków 1949, s. 210.

<sup>5</sup> Tamże, w. 227.

jest ani „śmieciem”<sup>6</sup>, ani wiechciem słomy – jest królewską różą osłonioną szczelnie. Ów najdziwniejszy gość – on jeden – wiedział, co to się naprawdę wydarzyło tam i wtedy: u progu Krakowa, u progu nowego wieku. Wziął na siebie odium smętnego finału i tłumaczy – tłumaczy po dziś dzień, jak illo tempore Isi, krakowiance czupurnej, pańsko-chłopskiemu dziecku: „sam twój tatuś na mnie wdział”<sup>7</sup>. Pokazuje przydzwiek swój słomiany i dodaje z niejaką melancholią w głosie: „bo się bał, bo się bał, [...] zaśbym zwiądł, róży krzak”<sup>8</sup>.

---

<sup>6</sup> S. W y s p i a ń s k i, *Wesele. Dramat w trzech aktach*, akt 2, scena 3, w. 49, Eventus, Kraków 1997, s. 100.

<sup>7</sup> Tamże, w. 61.

<sup>8</sup> Tamże, w. 62, 64, s. 101.